

Wina i pokuta

3)

(Z angielskiego).

— Śmierć nastąpiła już przed kilku godzinami i to zdaje mi się natychmiast po zadaniu ciosu — odparł doktor. — Ciało sztywne... krew zaschła...

— Jak pan przypuszcza, o której godzinie mogło to być?...

Doktor wyjął z kieszeni nieboszczyka zegarek i przyłożył go do ucha. Zegarek szedł jeszcze i nie mógł wobec tego udzielić informacji.

— Sądząc ze stanu zwłok, albo przed samą północą albo zaraz po północy...

Sędzia zwrócił się znowu do policyanta:

— Więc okno było otwarte?

— Tak! Jedno — o! to...

— A drugie?

— Było zamknięte.

— A okno w sypialni?

— Również zamknięte.

Sędzia pochylił się, aby podnieść leżące pod stołem do połowy wypalone cygaro. Gorący popiół wypalił dziurę w miękkim puszystym dywanie.

— No i cóż? — pytanie skierowane było do lekarza, który tymczasem dokładniej zbadał śmiertelną ranę.

Doktor Larnins wskazał na leżący na stole sztylet.

— Cios zadano bezwątpienia tą oto bronią.

Ridder wziął sztylet do ręki i obejrzał go uważnie. Było to piękne, oryentalnej roboty cacko, przywiezione przez Macmorrisa z dalekich krajów. Błękitnawo połyskujące ostrze kończyło się rękojeścią przedstawiającą zielonego węża, w którego głowie świeciły rubiny, jak dwoje czerwonych oczu.

— Ostrze nie wykazuje śladów krwi.

— Bo krwotok wewnętrzny był słaby. Śmierć nastąpiła wskutek krwotoku wewnętrznego. Uderzenie tego rodzaju bronią jest stanowczo śmiertelne...

— Zapewne wiedział o tem pan Macmorris w chwili, gdy powziął postanowienie odebrania sobie życia...

— Ależ, panie sędzio!

— To nie podobna!...

Policyant i lekarz — obaj zaprotestowali przeciwko hipotezie sędziego.

— I dlaczegoż to, moi panowie, uważacie samobójstwo za wykluczone?

— Sztylet leżał zbyt daleko od zwłok... To przecież niemożliwe, aby Macmorris sam wyrwał sobie ostrze z rany i położył sztylet na stole...

Sędzia skinął głową potakująco.

— Słusznie. Więc sądzicie, że Macmorris padł ofiarą zbrodniczej ręki?

— Został napadnięty niespodzianie — rzekł doktor, — przemawia za tem ten szczegół, że usta pozostały otwarte — jakby wydać chciały okrzyk zdumienia.

— I to cygaro palące się jeszcze, które upadło na dywan — uzupełniał sędzia.

Sędzia po dokładnej lustracji całego urządzenia mieszkania — zawezwał ogrodnika i jego żonę, aby ich przesłuchać. Stary na widok trupa tak się przeraził, że bał słowa bez związku i trudno było z niego wydobyć jakieś rozsądne zeznanie. Natomiast kobieta okazała więcej spokoju.

— Myśmy nie nie słyszeli i nie widzieli, panie sędzio?

— Zapewne położyliście się wcześniej spać?

— O dziewiątej godzinie — jak zwykle.

— Czy furę ogrodową zamknęliście?

— Naturalnie. Pan Macmorris miał przecież kluczyk.

— Czy to pani obsługiwała go?

— Tak jest.

— I nie wie pani, czy pan Macmorris zwykł długo w nocy pracować?

— Rzadko mu się to chyba zdarzało, bo najczęściej wieczorem nie było go w domu. Chodził prawie codziennie do teatru.

— O której godzinie wracał zwykle?

— Tego nie wiemy.

Sędzia rzekł do policyanta:

— Proszę zatelefonować po komisarza kry-

minalnego Connora. Jego współpraca będzie mi potrzebna, ponieważ niewątpliwie mamy tutaj do czynienia ze zbrodnią.

— Czy możemy odejść, panie sędzio?

— Jeszcze nie. Muszę wam zadać jeszcze kilka pytań? Czy dużo osób bywało u pana Macmorrisa?

— Prawie nikt.

— A panie jakie przyjmował kiedy?

— Nigdy. Przynajmniej ja nie widziałam.

— Musiał jednak mieć jakichś przyjaciół, znajomych?

— Przyjaciela miał jednego, ale i to tylko z początku...

Sędzia zmarszczył brwi.

— I kóż to taki?

— Pan Henryk Morlon.

— Ten chemik, właściciel sklepu materyaliw chemicznych.

— Tak, o!.

— Czy on tutaj przychodził?

— Czasem. Częściej przysyłał swego lokaja.

Ale i to się skończyło.

— Dlaczego?

— I i... trudno coś o tem powiedzieć... Ludzie tyle gadają...

— Naprzykład, cóż takiego gadają?

— Że pan Macmorris miał się zaręczyć z panną Belmore, tą z teatru i przez to pan Morlon pogrywał się na niego...

— A czy panna Belmore bywała tutaj?

— O! nie...

— Ale pan Macmorris chodził często do teatru... Czy wczoraj był także?...

— Tak jest. Wczoraj także.

— Skąd pani wie?

— Bo mnie posłał po południu po bilet do kasy...

Sędzia notował coś pilnie w swym notatniku. Jeszcze był tem zajęty, gdy policyant powrócił do pokoju.

— Cóż tam? — zapytał sędzia — pan komisarz jest już?

— Będzie za kwadrans ze swoim psem policyjnym Norą. Ale i ja coś odkryłem, panie sędzio.

— Cóż takiego?

— Ślady kroków męskich niedaleko pod oknem. Ślad ciągnie się aż do parkanu...

— Więc ten człowiek musiał przejść przez parkan?

— Takby sądzić należało...

— Hm!... zobaczymy...

Tymczasem sędzia, który odnalazł pęk kluczy, — kazał policyantowi potwierdzić wszystkie szuflady, biurkę, szafę z lustrem i staroświecką komodę. W zyskie przedmioty pozostały nieknućte. Żadnego nieładu, żadnych śladów włamania. W jednej z otwartych szuflad biurka znaleziono portfel, w którym było kilka set funtów... Jakim sposobem lup ten uszedł uwagi rabusia, jeśli istotnie morderca popełnił zbrodnię, dla rabunku? Przy nieboszczyku poza tem znaleziono kosztowny zegarek złoty, papierosnicę i kilka jeszcze innych cennych drobiazgów, które powinny były pobudzić chciwość bandyty.

Tymczasem zjawił się komisarz policyi kryminalnej, zawezwany przez sędziego. Był to niepokazny, mały, szczupły człowieczek o nadzbyt długich rękach i nogach i dziwnie przenikliwym spojrzeniu stalowych oczu. Zaraz zainterpelował doktora o niezbędne informacje.

Sędzia Ridder rewidował dalej poszczególne szuflady i skrytki biurka, których także nie dotknęła obca ręka. W jednej bocznej, małej szufladce znalazło się nawet trochę banknotów i kilka złotych monet.

Znaczący uśmiech przebiegł po wąskich wargach komisarza.

— Morderca najwidoczniej nie lubi zajmować się drobiazgami — rzekł.

— Więc pan sądzi, że to morderstwo dla rabunku?

— Narazie, dopóki nie nasuwa nam się inny prawdopodobny motyw zbrodni.

Zwrócił się do ogrodników:

— Czy nie wiadomo pani, aby pan Macmorris przechowywał większe sumy pieniężne w domu?

— Nie interesowałam się tem, ale wczoraj...

— Cóż wczoraj?...

— Miał przy sobie kilka milionów!...

— O!... kilka milionów!... Skąd pani o tem wie?

Starowinę przestraszył ostry ton głosu komisarza.

— Bo sam mi o tem powiedział.

— Pani?

— Tak jest. Powróciwszy do domu przedpołudniem powiedział: „Miałem dzisiaj szczęście... Zgubiłem portfel, w którym było kilka milionów i uczciwe jedno dziewczę oddało mi go...”

— Może wymienił imię lub nazwisko tej dziewczyny?

— O! tak... to była Katty, pokojówka panny Belmore.

Komisarz zanotował sobie ten szczegół.

— Panie sędzio! ile pieniędzy znaleziono?

— Coś około trzech tysięcy funtów sterlingów...

— Tylko tyle? a więc gdzie owa milio-

nowa suma?

— Szukajmy.

W kieszeni zakietu zamordowanego znaleziono portfel z krokodylęj skóry. Portfel był pusty. Żadnych pieniędzy. Pozostała w nim tylko fotografia i jakieś osobiste dokumenty.

— Teraz wie ny, czego morderca szukał i co znalazł!... — zawołał tryumfująco komisarz — Poco miał brać grosze, ubiwszy takiego grubego ptaka!... A teraz do ogrodu!... obejrzymy te ślady!...

Ślady te to były odciski szerokiej, silnej stopy męskiej, które od parkanu ciągnęły się aż pod same okno.

Komisarz pochylił się nisko, aby dokładnie przyjrzeć się tym śladom.

— To w każdym razie nie był członek międzynarodowej bandy włamywaczy.

— Z czego pan wnioskuje? — zapytał sędzia Ridder.

— Obuwie zdradza człowieka z ludu. Eleganccy rabusie, operujący po salonach i hotelach, nie noszą obuwia podbitego gwoździami!... Tutaj wyraźnie odcisk wianuszka gwoździ na obcasie... Na prawym obcasie braknie dwóch gwoździ w środku. — To ważny szczegół... może nam pomóc do wykrycia mordercy...

— Mordercy, który wiedział o milionach w portfelu — uzupełnił sędzia Ridder.

— Hm!... — rzekł komisarz — w grę może tutaj wchodzić personal banku, w którym podjęto pieniąd... Może jakś woźny, który przypadkiem był świadkiem...

— Albo ktoś, komu pokojówka panny Belmore opowiadała o znalezionym portfelu... Proszę — rzekł sędzia do policyanta — zawezwać na dzisiaj do mnie tę dziewczynę!...

ROZDZIAŁ V.

Na tropie mordercy.

— Proszę usiąść tutaj na tem krześle i niech się panienka uspokoi. Nic panience nie grozi.

Ale Katty pomimo tego zapewnienia spoglądała na sędziego z nieufnością i trwogą.

— Ależ panie sędzio!... — wyjąkała — to nie ja przecież...

— Nikt też panienci o to nie posadza. Tu chodzi o co innego. Proszę opowiadać na moje pytania. Panienska znalazła wczoraj portfel pana Macmorrisa?

— Tak.

— I opowiadała panienska komuś o tem?

— Mojej pani.

— A może jeszcze komu?

— Ni o mu nie opowiadałam!...

— Nawet swojemu kawalerowi?

Dziewczyna zarumieniała się:

— Pan sędzia mnie obraża!... ja jestem porządną dziewczyną!...

— Przecież i najporządniejsza może mieć narzeczonego...

— No i ja mam także. — John Kidds jest moim narzeczonym — zawołała tryumfująco Katty, ale w tej chwili silnie pobrała, bo zrozumiała, że pałała głupstwo.

— Dlaczego panienska mówiła przedtem, że niema kawalera?

— Bo kawaler to co innego a narzeczony to co innego... Z kawalerem to tylko balamutstwo, a za narzeczonego wychodzi się zamaż... A przecież John ożeni się ze mną...

— Tak? — uśmiechnął się sędzia — nie wiedziałem o tej subtelnej różnicy. Ale kóż to jest ten pan John Kidds?

— Lokaj pana Henryka Morlona.

Sędzia przypomniał sobie odrazu, że ten sam lokaj przychodził kilkakrotnie do mieszkania Macmorrisa z polecenia swego pana. Znał więc rozkład mieszkania i prawdopodobnie zwyczaje Macmorrisa.